

PARANORMAL ACTIVITY



BOCZNYTOR 286





[2013]
Fanaberia

(...) Ostatni raz, kiedy wierzyłam w boga, modliłam się, żeby dał mi organy elektryczne i kurtkę dżinsową i wszystko dostałam, ale od siostry. Do dziś nie wiem, co o tym myśleć. Przy czym już żadne z nich nie dało mi komputera IBM, a myślałam, że tak dobrze mi idzie, i potem i komputery były już zupełnie inne i musiałam sama na nie zapracować, i okazało się, że bóg nie jest dobrą wróżką, a tak się dobrze zapowiadał, miał takiego ładnego gołębia, jakiego mój brat hodował, pocztowe, z obrączką, to miało szansę swobodnego lotu, ale z ludzkich przyczyn zawsze popadało w rosół.

Pamiętam z dzieciństwa dławiące uczucie pragnienia, gorące pragnienie, wolę, chcenie, żądanie, głód, żeby już nadeszło i żeby się stało.

Potem byłam tylko dobrze wychowana. Ale dobre wychowanie uczy, żeby nie przekraczać granic, żadnej konkwisty, kolanka równo i razem, i mówić tak, żeby nikomu nie było przykro i pracować tak, żeby nie było lekko i nie cieszyć się za dużo i za głupio i nie okazywać.

A ja tak uwielbiam okazywanie. I za potwierdzeniem odbioru. Jak mi w środku wszystko ręcioowo z radości skacze i jest temperatura uczuć.

I ja po to wracam, do siebie, dzieciucha, i ubieram tę kurtkę dżinsową i gram na enerdowskich organach, taka śmieszna i taka szczęśliwa.

Pamiętajcie, bądźcie gorzej wychowani, proszę. Idźcie na słońce. Zgłodnieć. Chcieć. Siebie i dla siebie. Poznacie po tym, że będzie bolało z radości od środka. Kiedy nie można nie mieć uśmiechniętych oczu i wzrok wszystko wyda. Niech Wam się zrobi kula w brzuchu z radości. I skacze.

To się nazywa szczęście i nie uczą tego w tym kraju.



Dziennik
frazologiczny



Dziennik frazeologiczny

Wczoraj



Trzeba zdążyć, dopóki jest słońce.

Zdjęcie: Robert Doisneau, Les coiffeuses au soleil

Katachreza | <https://dziennikfrazologiczny.blogspot.com>



O pisaniu wierszy¹

Pisanie wierszy nie jest może niczym więcej niż odgrywaniem roli prostodusznego partnera w kabaretowym skeczu, w którym głównym komikiem – monologującym bez chwili odpoczynku, nie dającym sobie przerwać, przekrzykującym nas bez ceregieli – jest świat. Do takiego przynajmniej wniosku dochodzę w tym momencie, o siódmej rano, pod koniec kwietnia roku 1989, widząc, jak wystukiwane przeze mnie słowa zjawiają się na niebieskawym ekranie domowego Macintosha, za którym jest okno z widokiem na dachy i żywoploty jednego z przedmieść Bostonu – wszystko razem odległe o ćwierć wieku, pół globu i kilkanaście rzeczywistości od mieszkania w poznańskim bloku, gdzie zalewający długopis poznał kiedyś kartkę linijkami mojego pierwszego nadającego się do druku wiersza. Oczywiście, jeśli w tym porównaniu świat występuje w roli komika, to takiego, którego dowcipy bawią nas raczej rzadko, niemal na zasadzie wyjątku. Lecz choć jowialnego humoru naprawdę trudno się w nich dopatrzeć, żarty tego akurat wykonawcy spełniają mimo wszystko podstawowy warunek komizmu: są zaskakujące.

Rimbaud był chyba ostatnim wielkim poetą, który pisanie utożsamiał z wyswobodzeniem się z dławiącej monotonii rzeczywistości, rozrywaniem jej seriami iluminacji, rozbłysków Nicoczekiwanego. Sto lat po jego śmierci to raczej sama

¹ Polska wersja wstępu do wyboru własnych wierszy w przekładach na język angielski pt. *The Weight of the Body* (Chicago 1989).

rzeczywistość coraz bardziej nas zaskakuje. Jej całkowita nieprzewidywalność nadaje jej odcień natchnionego wariactwa, jak gdyby komik na scenie w samej rzeczy pozbył się wszelkich hamulców i nie tylko plółł bez skrępowania na wszystkie możliwe tematy, ale jeszcze – jak wizjonerzy w niektórych sektach religijnych – mówił wieloma językami naraz. W zestawieniu z tym maniackalnym wielogłosym majaczeniem wypowiedź poety może dziś przyprawić o wstrząs – właśnie dlatego, że brzmi normalnie.

Nie, nie chcę powiedzieć, że dzisiejsza poezja zbuntowała się przeciw swej odwiecznej naturze, którą było zawsze objawianie tego, co nieoczywiste. Chodzi mi raczej o to, że im więcej nieprzewidywalności, tym bardziej każdy nowy jej przejaw wydaje się przewidywalny; i pośród tego szybko banalizującego się szaleństwa właśnie normalność może się stać objawieniem. Odezwania prostodusznego partnera dialogu nie przyciągnęłyby, rzecz jasna, naszej uwagi, gdyby nie były częścią składową skeczu z rozgadany światem w roli głównej – tym komikiem, który stoi nieodmiennie w centrum naszego zainteresowania z jednego prostego powodu: jest wszystkim, co znamy. Ale i, odwrotnie rzecz biorąc, nie potrafilibyśmy może dopatrzeć się sensu w ogłuszającym potoku wymowy szalonego clowna, gdyby nie zapytania czy riposty jego partnera, które całej paplaninie nadają jaki-taki kształt i sens.

Zbiór wierszy, który Czytelnik ma w ręku, jest serią takich właśnie prób przerywania świata i domagania się, aby mówił do rzeczy. Nie wiem, może ktoś o naturze bardziej fatalistycznej byłby w stanie dopatrzeć się jakiejś logiki czy konieczności w niezliczonych odmianach losu, jakie kształtują każde ludzkie życie. Mnie samego te nie wiedzieć przez kogo planowane zwroty, zakręty, zaskoczenia – ocknięcie się w polowie życia na innym kontynencie jest tylko jednym z nich – przede wszystkim dziwią. Pewien mój wczesny wiersz nosił tytuł „Nigdy bym nie przypuścił”. Inny, nieco późniejszy, zatytułowany był „I nikt mnie nie uprzedził”. To, że pierwszy



wiersz był erotykiem, drugi – czymś w rodzaju politycznej satyry, nie ma tu nic do rzeczy: złożone w jeden dwuwiersz, te dwa wyznania mogłyby stanowić motto całej mojej twórczości.

Bierze się ona cała z instynktownego przeświadczenia – tyleż silnego, co w oczywisty sposób pozbawionego racjonalnych podstaw – że większość z tego, co nas spotyka, jest pogwałceniem jakiejś niepisanej umowy, której istnienie dano nam aluzyjnie do zrozumienia w momencie narodzin. Rzucani nieznaną ręką w świat, mamy przecież – zdawałoby się – prawo oczekiwać, że miejsce, w które nas się rzuca, jest przeznaczoną dla nas siedzibą, przestrzenią przychylną ludzkiemu życiu. Tymczasem wystarczy, że ufnie naciśniemy klamkę – jak lokator, wkraczający w progi mieszkania i pragnący jedynie spędzić parę chwil w spokoju – aby rozbłyśły światła i ogłuszył nas krzyk zaczajonych po kątach gości urodzinowych: „NIESPODZIANKA!!!” Nikt z nas „nigdy by nie przypuścił”, że od pierwszego momentu życia świat obejmie go uściskiem jednocześnie zachłannym i dławiącym, że rozciągnie go między biegunami rozkoszy i bólu, postawi go w swoim centrum i zarazem będzie bezustannie deptać jego godność, stanie mu się dobroczyńcą i prześladowcą w jednej postaci. „I nikt nas nie uprzedził”, że nasza umowa w sprawie wynajmu tego mieszkania, jakim jest życie, ma u spodu parę dodatkowych, drobnym drukiem wypisanych paragrafów – tych, które stwierdzają, że lokator ma obowiązek przyjąć lokal z całym wątpliwym dobrodziejstwem inwentarza: cierpieniem, samotnością, śmiercią.

Od napisu wyrytego na starożytnym nagrobku (który, nazywając po imieniu kogoś, kto niegdyś żył, usiłuje tym samym unieważnić anonimowość jego śmierci) od słów zapisywanych być może w tej chwili przez kolejnego młodego poetę, który utrwała na papierze swój pierwszy bezradny sprzeciw – poezja była zawsze w swojej najgłębszej istocie wołaniem o uczciwą grę, dopominaniem się o przestrzeganie wobec nas, ludzi, i u d z k i c h reguł. Ludzkich w podwójnym sensie:

człowieczych i litościwych. Fakt, że partner gry – natura, ustrój, śmierć, historia, sam Stwórca wreszcie – jest niekoniecznie człowieczy, a już prawie na pewno nie litościwy, nie ma tu większego znaczenia. Poeta to lokator niezbyt logiczny: przyznaje z ociąganiem, że, owszem, powinien był przed podpisaniem umowy dokładniej się zapoznać z jej dodatkowymi klauzulami, zarazem jednak upiera się, że paragrafy swoją drogą, a właściciel budynku nie ma prawa lokatorami pomiatać.

Inaczej mówiąc, poezja to nic innego jak wyzwanie rzucone niesprawiedliwości wpisanej w prawa wszechświata – prawa, zależnie od wyznawanej przez nas filozofii, „naturalne”, „naukowe” czy „ustanowione przez Boga”, ale zawsze sprzeczne czy co najmniej rozbieżne z tym, czego oczekujemy od życia. Oczekiwania te mogą być naiwne, nierozumne czy małostkowe, ale są nasze – są ludzkie. Mogą nie znaczyć nic wobec ogromu kosmosu i złożoności jego tajemniczych przeznaczeń, lecz stanowią jedyną dostępną nam skalę mierzenia rzeczywistości – skalę, której podziałką są rozmaite stopnie bólu. Prawa natury, utopie polityczne, wyroki opatrności: ich skala jest zbyt olbrzymia, w ich wszechogarniających zamysłach nie ma miejsca na mój pojedynczy los. Z tymi wielkimi konstrukcjami mój los wchodzi w styczność tylko wtedy, kiedy nabijam sobie boleśnie guza o ich kanty lub wpadam w ich podstępne zasadzki. I tylko ten ból – dowód rzeczowy ich i zarazem mojego istnienia – jest bezsprzecznie i nieodwołalnie prawdziwy.

Z tego punktu widzenia wydawało mi się zawsze, że niewiele wyjaśnia zaliczanie mnie do kategorii poetów „politycznych”, czy w ogóle samo – tak pospolite ostatnio – rysowanie nieprzekraczalnej linii podziału między poezją „polityczną” (czyli złem koniecznym) a poezją „metafizyczną” (czyli tym, co porządny poeta pisać powinien i co pisałby, gdyby mu czasy pozwalały). Mógłbym tłumaczyć, że na przykład moje wiersze o betonie spółdzielczych bloków czy o staniu w kolejce pod sklepem mięsnym są w równej mierze







Parę przypuszczeń na temat poezji współczesnej

1. Powinna być nieufnością.
2. Powinna być nieufnością, bo tylko to usprawiedliwia dzisiaj jej istnienie. Im szerszy zasięg ma jakiś środek wypowiedzi, tym usilniej stara się odzwyczaić nas od myślenia, wpoić nam te czy inne prawdy absolutne, podporządkować nas określonym systemom wartości, zmusić nas do takich czy innych zachowań. Poezja – jak dobrze wszystkim wiadomo – ma dziś zasięg wąski. Ale w tym może leżeć szansa jej odrodzenia, jej „kapitał zakładowy”, od którego można wyjść. Jest szansa, aby stworzyć z poezji pierwszy przyczółek walki o niezafałszowany obraz świata, w którym żyjemy: właśnie dlatego, że poezja zwraca się nie do biernego odbiorcy rozwalonego przed telewizorem lub przerzucającego stronicę gazety, ale do człowieka, który widać pragnie myśleć, skoro w ogóle bierze książkę poetką do ręki.
3. Ale nie tylko dlatego. Jest też i ten powód, że poezja jest nie anonimowym głosem Wielkich Manipulatorów, ale głosem jednostki. Myślenie indywidualne to myślenie nieufne, krytyczne wobec zbiorowych wiar, sentymentów i hysterii. Wrodzony indywidualizm tego rodzaju literackiego, przez poetów różnych epok tłumiony lub podsycany na nowo, dzisiaj staje się dla poezji jeszcze jedną szansą aktywnego stosunku do świata.



4. I to zresztą nie wszystko. Przecież wrodzoną (co nie znaczy, że nie dającą się kształtować lub zaniedbywać) cechą poezji trzeba też nazwać jej skłonność do konkretności. Poezja zawsze sprawdza, przymierza pobożne życzenia do stanu faktycznego. „Jak to sobie konkretnie wyobrażacie?” – to pytanie, jakie właśnie dziś szczególnie często powinien zadawać poeta, przysłuchujący się nieufnie ogólnikowym hasłom, pojemnym mitom, wymijającym trudności i zacierającym konflikty opisom świata. Powinien sprowadzać do wszystkiego do poziomu jednostkowego przypadku i na tym pojedynczym przykładzie sprawdzać, co się ostaje z pięknie brzmiących ogólników.
5. Więc powinna być nieufnością. Krytycyzmem. Demaskacją. Powinna być tym wszystkim aż do chwili, gdy z tej Ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia i ostatni akt przemocy. Nie sądzę, aby to właśnie poezja miała do tego doprowadzić (jeśli zresztą cokolwiek jest w stanie do tego doprowadzić). Ale wierzę, że poezja może się do tego przyczynić: może nauczyć człowieka myśleć o świecie w kategoriach racjonalnej nieufności wobec wszystkiego, co zagraża mu pod postacią kłamstwa, demagogii i przemocy. Stanie się tak wtedy, gdy poezja, o której myślę, będzie nieufna w pełni, konsekwentnie, gdy będzie zdzierać maski pozorów nie tylko z zewnętrznego świata ale i z samej siebie. Gdy będzie zarówno w tym, co ją otacza, jak i w tym, co tkwi wewnątrz niej, ukazywać skłócenie, niejednorodność i wieloznaczność czającą się pod powierzchnią harmonii, zgody i oczywistości.
6. Od tego musi zacząć. Od nieufności, która oczyści drogę temu, czego wszyscy potrzebujemy. Mam na myśli – to nie nowego, zgoda, ale już niemal zapomnieliśmy, na czym nam powinno zależeć – mam na myśli, oczywiście, prawdę.

lipiec 1970

Stanisław Barańczak | Poezja i duch Uogólnienia. Wybór eseju 1970-1995,
Wydawnictwo Znak, Kraków 1996, s. 5-6.



Przypadek jest naszym przeznaczeniem.
Wiesz, wiem. Oczywiście, odmieniamy rzeczywistość
przez przypadki. Zabawiamy się słowami.
Czasu jest co niemiara, nieprawdaż? / Michał Plandal









Właściwie to chciałem napisać o gołębiu.

Dziś rano usłyszałem, jak spada. I zobaczyłem,
jak trzepocze hałaśliwie skrzydłami, próbując wzbić się, ustać
na betonowych płytach podwórka. Toczył walkę metr po metrze.
Po chwili uspokoił się. Przysiadł z wyprostowaną głową,
podniesionym dzióbkiem. Zastygł, jak zwykły czynić gołębie
na dachach. Trwało to długie sekundy i pomału jego głowa
zaczęła opadać ku ziemi. Oko zamknęło się.

Dziś rano, gdy usłyszałem trzepotanie...

Max Zweit





Boczny Tor 286 - pismo którego nie ma - 20.08.2018

„polityczne” jak „metafizyczne”, wynikają tak z poczucia ludzkiej solidarności jak i z doznania ludzkiej samotności, mówią tyleż o stłamszeniu człowieka przez instytucje i ustroje ile o krzywdach, jakie mu zadaje czas i nicłość. To jednak tylko cząstkowe wyjaśnienie. Pełniejszym byłoby zapewne to, że – niezależnie od tematu, adresu, okoliczności powstania – poezja jest zawsze taką czy inną formą protestu. I jest rzeczą naprawdę drugorzędną, czy ból, przeciw któremu protestuje, wziął się z uderzenia bardzo konkretną i „polityczną” pałką, czy z uświadomienia sobie uniwersalnej i „metafizycznej” nieuchronności śmierci. Czymkolwiek traktuje go świat, poeta reaguje zawsze tak samo: na przekór logice i faktom, lekceważąc pewność przegranej, usiłuje bronić swego przyrodzonego prawa do ludzkiej normalności, do ludzkiej normy, którą uporczywie narzuca wszystkiemu, co go otacza i co go próbuje zmiażdżyć.

Poeta jako prostoduszny partner, wtrącający się w obłąkany monolog clowna-świata: wracamy do punktu wyjścia. To stąd te wszystkie rymy, rytmy, metafory, gry słów – to tylko rozmaite formy naginania bełkotu świata do jakiegoś znaczącego porządku, nadawania potokom jego chaotycznej wymowy jakiegoś kierunku i sensu. To po to dążenie do konkretności i zwięzłości – aby przeciwstawić się wsysającej nas w lej nicości potędze pustych abstrakcji i statystycznych ogólników. To dlatego całe to mówienie w pierwszej osobie liczby pojedynczej i widzenie rzeczy w ściśle indywidualnej perspektywie – to po prostu sposób poezji na stawianie oporu światu, ilekroć chce on zepchnąć jednostkę ze sceny.

I nie muszę dodawać: aż nazbyt dobrze wiem, że w takim rozumieniu poezji brak jakiegokolwiek pragmatycznej racji. Bo w samej rzeczy, na cóż tu można liczyć? Biorąc udział w tym nie kończącym się skeczu, poeta stoi przecież naprzeciw partnera niezmordowanego i bez trudu zagłuszającego jego głos. Nie chcę udawać, że nie zdaję sobie z tego sprawy: przeciwnie, ukryta logika mojej metafory prowadzi nie-

uchronnie do pesymistycznej konkluzji. Prostoduszny partner komika koniec końców musi się okazać ofiarą jego szyderstwa – do świata, nie do poety należy ostateczna pointa. Choć jednak poeta w tej roli nie ma ostatecznego słowa – ma przynajmniej szansę cokolwiek powiedzieć. Zawsze to więcej niż rola niemego statysty.

1989